Między jawą a nawią

Opowieść o tym, co czeka na progu snu

Część druga: Otwarcie

5.

Śleboda czekała na progu. W ręku trzymała przedmiot, którego Weronika wcześniej nie widziała – rodzaj kadzielnicy na długim, kutym żelaznym łańcuchu. Kadzielnica była gliniana, ale nie taka, jakie robią garncarze na kole – była lepiona ręcznie, z widocznymi śladami palców, a jej powierzchnię pokrywały symbole, które wyglądały jak zniekształcone litery lub raczej jak litery, które ktoś próbował napisać, zapomniawszy, jak wyglądają. Z jej wnętrza unosił się dym – nie szary ani biały, ale czarny, gęsty, lepki, który nie rozchodził się w powietrzu, ale opadał ku ziemi, pełzając po gruncie jak mgła, która zgubiła drogę do nieba.

– Zdejmij buty – powiedziała Śleboda. – I chustę. I zostaw tu wszystko, co masz z żelaza. Żelazo jest dobre na wilkołaki i wampiry, ale na Lituna nie działa. On jest z innego rzędu. Weronika zdjęła buty. Stopy dotknęły zimnej, mokrej ziemi przed chatą – ale ziemia nie była mokra od deszczu, bo deszczu nie było od sześciu tygodni. Była mokra od środka, jakby pod cienką warstwą spieczonej skorupy tliło się źródło, które nigdy nie wysycha, bo nie czerpie z deszczu, tylko z głębokości, której nie sięga korzeniem żadne drzewo. – Chodź za mną – rzuciła Śleboda i weszła do chaty. W środku było inaczej niż poprzedniego dnia. Poświata w ścianach była silniejsza – zielonkawa, pulsująca, podobna do światła, jakie wydają spróchniałe pnie w głębi lasu, gdy dotknie ich księżyc. Powietrze było gęstsze, trudniejsze do oddychania, jakby izba wypełniła się wodą, przez którą trzeba było przepychać się ramionami. I ten zapach – już nie borowiny i zepsucia, ale czegoś słodkiego, mdlącego, jakby ktoś spalił na patelni miód z krwią. Kołyska w kącie kołysała się szybciej, gwałtowniej, choć w izbie wciąż nie było przeciągu. Weronika starała się na nią nie patrzeć. – Siadaj w kole – powiedziała Śleboda, wskazując podłogę. Weronika dopiero teraz zauważyła, że deski podłogi zostały wczoraj w nocy zamazane czymś białym – może kredą, może mąką, może miałem pokruszonych kości. Koło było duże, o średnicy około dwóch metrów, a w jego wnętrzu widniały dalsze znaki: krzyże ze złamanymi ramionami, spirale skręcone w obie strony jednocześnie, linie przerywane i ciągłe, układające się w kształty, które nie były ani literami, ani obrazami, ale czymś pośrednim – hieroglifami snu, pismem, które rozumie się tylko wtedy, gdy się go nie czyta. – To jest krąg – wyjaśniła Śleboda, siadając naprzeciw Weroniki, poza linią. – Nie do obrony. Do otwarcia. Będziesz w jego środku, a ja będę recytować. Nie przerywaj mi. I nie wstawaj, bez względu na to, co zobaczysz. Nawet jeśli zobaczysz siebie samą. Nawet jeśli ktoś zawoła cię po imieniu głosem, który znasz. Nawet jeśli poczujesz, że twoje ciało się rozpada. Siedzisz. Aż ci powiem, że możesz wstać. – Co się stanie? – zapytała

Weronika, siadając w kole. Deski były zimne. I wilgotne. I miały w sobie drganie – bardzo delikatne, jak bicie serca, ale nie jej serca. Serce podłogi. – Otworzymy drzwi. Twoje drzwi. Każdy człowiek ma je w sobie – miejsce, przez które wchodzą sny, a przez które mogą też wejść istoty z Nawi. U ciebie te drzwi są szeroko otwarte od szesnastu dni, od kiedy Litun zaczął nad tobą latać. Ale ty przez nie nie przechodziłaś. Ja sprawię, że przejdziesz. To boli. I wtedy zobaczysz go w jego własnym świecie. W Nawi. A może jeszcze głębiej. A kiedy go zobaczysz, będziesz musiała stanąć z nim twarzą w twarz i powiedzieć trzy słowa. Nie mogę ci ich podpowiedzieć. Nie wiem, jakie będą. Każdy ma swoje. – A jeśli nie powiem? Albo jeśli się nie uda? Śleboda podniosła kadzielnicę. Czarny dym uniósł się wyżej, owinął się wokół jej ramion jak wąż, który nie śpieszy się z ukąszeniem. – Wtedy nie wyjdziesz z tego kręgu żywa. Albo wyjdziesz, ale bez tego, co czyni człowieka człowiekiem. Wybór należy do ciebie. Siedzisz? Weronika skinęła głową. Nie czuła lęku. Nie czuła nic. To było gorsze od strachu – ta pusta, szara przestrzeń w środku, w której emocje się skończyły, a zostało tylko mechaniczne przygotowanie. Tak muszą czuć zwierzęta idące do rzeźni, pomyślała. I zaraz potem: nie. Zwierzęta się boją. Ja jestem dalej niż one. Śleboda zaczęła recytować. Nie były to słowa w żadnym języku, jaki Weronika znała. Nie brzmiały jak polski, nie jak rosyjski, nie jak łacina, nie jak cerkiewnosłowiański. Były to dźwięki, które nie miały znaczeń – lub miały ich zbyt wiele. Każda sylaba niosła w sobie kilka możliwych interpretacji, które ścierały się ze sobą w głowie słuchacza, tworząc wrażenie, że słyszy się jednocześnie prośbę, rozkaz, płacz, śmiech i coś jeszcze – może oddech wszechświata, który wciąga powietrze, by po chwili wypuścić je jako wiatr, jako słowo, jako imię. Weronika zamknęła oczy. Zaczęło się od chłodu. Nie od tego zwykłego, od otwartego okna czy jesiennego poranka – od chłodu, który wnikał w kości, nie tyle przez skórę, co przez myśli. Czuła, jak jej umysł zaczyna zwalniać, jakby ktoś nalewał w niego gęsty, lepki miód, który spowalniał każdą iskrę nerwową. Potem przyszły obrazy – nie sny, bo nie spała, coś pośredniego, coś, co jej ojciec nazywał „widzeniami na jawie”. Zobaczyła Krześnię z lotu ptaka. Ale nie taką, jaką znała – z chatami, drogą, polami. Zobaczyła Krześnię jako zbiór świateł – każde światło to człowiek, każdy człowiek to maleńki płomyk w wielkiej, nieskończonej ciemności. Niektóre płomyki były duże, jasne, gorące – to domy, w których mieszkało dużo osób, dużo miłości, dużo życia. Inne były małe, migotliwe, ledwo widoczne – to samotni, starzy, chorzy, ci, których życie wypala się od środka. A potem zobaczyła światło, które gasło. Nie jej. Kogoś innego. Kogoś, kto w tej samej chwili, w tym samym momencie, przestawał istnieć. Zobaczyła, jak płomyk kurczy się, czerwienieje, czernieje – i znika. Zostaje po nim tylko smuga dymu, która unosi się przez chwilę, a potem rozwiewa się na tysiące maleńkich cząstek, każda cząstka to jedna sekunda życia, jedna myśl, jedno wspomnienie, które nie znajdzie już domu. – Otwórz – usłyszała głos Ślebody, ale nie z zewnątrz, w środku. I wtedy podłoga pod nią zniknęła.

6.

Spadała. Nie w dół – to nie miało kierunku. Spadała w bok, w głąb, w siebie. Krąg, Śleboda, chata, Krześnia, cały świat fizyczny – wszystko to oddaliło się z prędkością, której nie da się opisać, nie dlatego, że było szybkie, ale dlatego, że przestrzeń, przez którą spadała, nie podlegała prawom odległości. Była w tym samym miejscu, które oddaliło się od niej o lata świetlne. Była w swojej głowie i pod swoją głową jednocześnie. Otworzyła oczy. Stała na polanie. Polana była okrągła, otoczona ze wszystkich stron

wysokimi, czarnymi drzewami, które nie miały liści – miały za to na gałęziach coś, co wyglądało jak opadłe gniazda ptaków, ale gniazda były zbyt liczne, zbyt regularne, i z każdego, z każdego bez wyjątku, zwisała pojedyncza, szara, cienka nić. Nici poruszały się na bezwietrznym powietrzu. Poruszały się rytmicznie, zgodnie, jakby ktoś gdzieś głęboko, pod ziemią, ciągnął je wszystkie jednocześnie. Niebo nad polaną nie było niebem. Było dachem – czymś stałym, twardym, pokrytym ciemną, połyskującą substancją, jak smoła, która jeszcze nie stwardniała. A na tym dachu – światła. Nie gwiazdy – raczej odbicia gwiazd, ich blade, drżące kopie, które poruszały się w zwolnionym tempie, rysując powolne, majestatyczne kręgi. Polana była pusta. Ale nie czuła się pusta. Czuła się zamieszkana przez nieobecność. – Jestem w Nawi? – zapytała Weronika. Głos wrócił do niej z opóźnieniem, jakby dźwięk potrzebował czasu, by przedrzeć się przez gęste, obce powietrze. – Nie – odpowiedział głos. Nie był to głos Ślebody. Był to głos mężczyzny, głęboki, spokojny, z akcentem, którego nie potrafiła zlokalizować. – Jesteś w Nawi, ale nie w jej głębi. Jesteś na granicy. To, co widać z twojego świata jako szpara między jawą a snem – tutaj jest stałym lądem. Odwróciła się. Mężczyzna stał kilka metrów od niej. Był młody, może trzydzieści lat, może więcej – jego wiek był trudny do określenia, bo jego twarz była jednocześnie staroświecka i ponadczasowa, jak twarz na starym portrecie, który przetrwał wieki, ale który ktoś niedawno odnowił. Miał długie, ciemne włosy splecione w warkocz, ubrany był w szarą, lnianą koszulę i skórzane buty, jakie nosili chłopi w XIX wieku. Ale jego oczy – jego oczy były pierwszym znakiem, że nie jest człowiekiem. Miały kolor miodu, ale świeciły od środka, jakby pod tęczówką tliło się maleńkie, wieczne źródełko światła. I były nieskończenie smutne. – Kim jesteś? – zapytała Weronika. – Dziadem – odpowiedział. – Duch przodka. Twojego przodka, jeśli chcesz to tak nazwać. Byłem gospodarzem na tych ziemiach, zanim jeszcze Krześnia się nazywała Krześnią. Zanim studnię wykopano. Zanim posadzono gruszę na rozwidleniu. Byłem tu, gdy las nazywał się puszczą, a w puszczy mieszkało to, co nie miało imion. – Dlaczego mi pomagasz? – Pomagam? – Uśmiechnął się, ale w tym uśmiechu nie było ciepła. Była gorycz. I rezygnacja. – Nie pomagam ci. Dawid, tak jak ty, przyszedłem tu z własnej woli. Śleboda mnie wezwała, bo jestem z tych, którzy jeszcze pamiętają drogę. Ale to ty musisz iść dalej. Ja tylko pokażę ci drzwi. – Drzwi do Lituna? – Drzwi do świata, w którym on mieszka. On nie jest stąd. Nawi to jego łowisko, nie jego dom. Jego dom jest głębiej. Ciemniej. Tam, gdzie sny nie mają już kształtów, bo nikt ich nie śnił. Tam, gdzie żyją rzeczy, które zdarzyły się tylko w wyobraźni i nigdy nie zostały zapomniane, choć powinny. Dziad odwrócił się i ruszył w głąb lasu. Drzewa rozstępowały się przed nim, ale nie jak przed człowiekiem – jak przed siłą, która nie musi prosić, by ustąpiono jej miejsca. Ich czarne pnie wyginały się w łuki, tworząc coś w rodzaju tunelu, do wnętrza którego wdzierało się światło – nie z góry, z dołu. Ziemia pod stopami Weroniki świeciła słabo, zielonkawo, tym samym światłem, które widziała w ścianach chaty Ślebody. – Nie dotykaj niczego – rzucił Dziad przez ramię. – I nie odpowiadaj, gdy coś do ciebie przemówi w twoim języku. Zwłaszcza jeśli powie coś, co wydaje ci się, że tylko ty możesz wiedzieć. Szli w ciszy. Jedynym dźwiękiem był chrzęst czegoś pod butami – nie liści, nie gałęzi, ale twardszych, bardziej regularnych kształtów. Weronika spojrzała w dół. Pod jej stopami leżały zęby. Tysiące zębów. Małe, duże, ludzkie, zwierzęce, białe, żółte, czarne, całe, połamane, ułożone w warstwy tak gęste, że tworzyły jednolitą nawierzchnię, na której odciskały się jej bose stopy, nie pozostawiając śladów. – Dlaczego tu są zęby? – chciała zapytać, ale ugryzła się w język. Przypomniała sobie słowa Ślebody, że w Nawi myśli czasem stają się głosem. Zęby –

pomyślała tylko, bardzo mocno. I usłyszała odpowiedź, nie uchem, całym ciałem: Bo to, co zostało po umarłych, nie gnije tu jak w ziemi. Przechowuje się. Zęby są najtrwalsze. Resztę zjadły myszy. Albo gorsze rzeczy. Przyspieszyła kroku.

7.

Wyszli na skraj urwiska. Przed nimi rozciągała się dolina – ale dolina, jakiej nie widziała żadna żyjąca istota. Nie było w niej drzew, traw, rzek. Były w niej światła. Setki, tysiące świateł, każde inne: niektóre białe, gorące, pulsujące szybko jak kolibry; inne niebieskie, zimne, drgające powoli, raz na minutę, raz na godzinę; jeszcze inne czarne – Weronika nie wiedziała, że światło może być czarne, ale tu, w Nawi, czarne światło istniało, i było najbardziej przerażające ze wszystkich, bo pochłaniało wzrok, nie oddając nic w zamian. – Co to jest? – pomyślała (nie powiedziała, już wiedziała, że myślenie wystarczy). – To są sny, które nie trafiły do śpiących – odpowiedział Dziad, a jego głos w jej głowie był cichy, zmęczony. – Każdej nocy na ziemi rodzą się tysiące snów. Większość trafia do ludzi. Ale niektóre gubią się po drodze. Albo ludzie budzą się za wcześnie. Albo demon przegania je z drogi. I wtedy one spadają tutaj. I zostają. I czekają. Na kogoś, kto by je prześnił. Weronika patrzyła na morze niewykorzystanych snów. Było piękne. I straszne. W jednym ze świateł – żółtym, ciepłym – zobaczyła siebie jako małą dziewczynkę, biegającą za motylem wśród łąki, której w życiu nie widziała. W innym – niebieskim, smutnym – zobaczyła swoje własne dłonie składane do trumny, a w trumnie leżała nie ona, tylko coś, co wyglądało jak ona, ale miało oczy otwarte i uśmiechało się. Odsunęła wzrok. – Dokąd teraz? Dziad wskazał przed siebie. W dolinie snów, na samym jej horyzoncie – choć w Nawi horyzont nie był linią, a punktem – wznosiła się konstrukcja. Wyglądała jak drzewo, ale zbyt wielkie, zbyt regularne, zbyt geometryczne. Jego pień był czarny, gładki jak szkło, i nie miał kory. Jego gałęzie rozchodziły się pod kątami prostymi, tworząc sieć, która przypominała trójwymiarową mapę czegoś – może wszechświata, może ludzkiego mózgu. A na każdej gałęzi, na każdym, najmniejszym nawet odgałęzieniu, wisiały istoty. Nie mogła ich zliczyć. Były różnej wielkości – niektóre malutkie jak myszy, inne ogromne jak domy. Ich kształty były nieostre, zmieniały się, gdy patrzyła – to, co przed chwilą wyglądało jak ptak, za chwilę przypominało człowieka, potem kamień, potem cień. Ale wszystkie miały jedną wspólną cechę: oczy. Żółte. Poziome. Bez źrenic. Lituny. Setki Litunów. – To ich gniazdo – powiedział Dziad. – Przybywają tu między jednym śpiącym a drugim. Tu odpoczywają. Tu łączą się w pary. Tu rodzą się małe – ale ich narodzin nie chcesz oglądać. Weronika wpatrywała się w tę niesamowitą, przerażającą konstrukcję. W oddali, na najwyższej gałęzi, dostrzegła jednego Lituna, który był większy od innych. Jego skrzydła, zamiast błoniaste i przezroczyste, były upierzone – białymi, długimi piórami, które lśniły jak perłowa macica. Jego głowa nie była podobna do węża – była podobna do głowy człowieka. Starego człowieka. Z zapadniętymi policzkami, przymkniętymi powiekami, i ustami, które poruszały się bezgłośnie, jakby szeptały zaklęcie, które trwało od początku świata. – To ich król? – pomyślała Weronika. – Nie mają królów. To coś innego. To ten, który pierwszy przyszedł do Nawi. Kiedyś był człowiekiem. Nazywał się… Dziad urwał. Z drzewa, z jego czarnej, lśniącej powierzchni, zaczęły spadać krople. Nie wody – czegoś gęstego, białego, podobnego do mleka. Padały w ciszy, bez plusku, a gdy uderzały o ziemię porośniętą zębami, wyżłabiały w niej maleńkie, okrągłe dołki, z których natychmiast wyrastały maleńkie, przezroczyste listki. – Szybko – powiedział Dziad i pierwszy raz w jego głosie

pojawiło się napięcie. – Zaczyna kapać. To znaczy, że Lituny szykują się do lotu. Zaraz wyruszą na ziemię, na noc. Musimy być przy drzewie, zanim odlecą. Chodź. Ruszyli w dół urwiska, biegnąc po zboczu, które pod stopami Weroniki zmieniało się – z twardego w miękkie, z miękkiego w śliskie, ze śliskiego w lepkie. Ale nie zwalniała. Za plecami słyszała narastający szum – nie głos, nie wiatr, ale ruch skrzydeł. Tysiące, dziesiątki tysięcy skrzydeł, które otwierały się jednocześnie, potrząsały błonami, próbowały powietrza. Nie oglądała się za siebie.

8.

Dotarli do pnia. Z bliska drzewo było jeszcze potworniejsze. Jego kora nie była gładka – pokrywały ją twarze. Setki, tysiące twarzy, odciśniętych w czerni, z zamkniętymi oczami, z otwartymi ustami, z wyrazem, który Weronika odczytała jako błaganie. Niektóre twarze znała – widziała je na cmentarzu w Krześni, na starych fotografiach u sąsiadów, w swoich snach. Jedna twarz sprawiła, że zatrzymała się, nie mogąc złapać tchu. Jej matki. Młodszej niż na zdjęciach, zdrowszej, z włosami rozpuszczonymi na ramionach. Jej usta poruszały się, tworząc jedno, bezgłośne słowo: przepraszam. – Nie patrz – powiedział Dziad łagodnie, ale stanowczo. – To nie są one. To są ich odbicia. Drzewo zapamiętuje każdego, na kim usiadł Litun. Nie tylko śpiącego – także tych, którzy patrzyli, jak śpiący umiera. Jesteś na tym drzewie od szesnastu dni, Weroniko. Twoja twarz też tu jest. Gdzieś wyżej. Weronika wyminęła pień i znalazła się po jego drugiej stronie. Wejście miało kształt pęknięcia – cienkiego, pionowego przecięcia w czerni, przez które sączyło się światło. Ale nie było to światło, które oświetla – było to światło, które odsłaniało. Gdy przez nie przeszła, znalazła się w środku drzewa. Wnętrze było puste. Nie, nie puste – niezamieszkane, ale wypełnione po brzegi czymś, co nie było materią, ale miało ciężar. Weronika czuła na ramionach, na głowie, na całym ciele nacisk niezliczonej liczby wspomnień, które przechowywało to drzewo. Ale nie były to jej wspomnienia. Były to wspomnienia wszystkich, na których kiedykolwiek spoczął Litun. A ponieważ Lituny istniały od początku snu – od początku ludzkości – tych wspomnień było więcej niż gwiazd na niebie. W głębi, na czymś, co wyglądało jak tron zrośnięty z pniem, siedział On. Nie był podobny do Litunów, które widziała na gałęziach. Był większy, może dwa metry wzrostu, ale jego sylwetka była nieostra – raz szczupły, raz gruby, raz mężczyzna, raz kobieta, raz dorosły, raz dziecko. Jego twarz zmieniała się co sekundę, a każda nowa twarz była twarzą kogoś, kogo Weronika kochała lub nienawidziła. Przez moment widziała ojca, potem matkę, potem Ślebody z jej dwojgiem oczu, potem swoje własne odbicie sprzed lat, gdy pierwszy raz spojrzała w lustro i pomyślała: jestem sobą. – Ten, który nie śpi – szepnęła. – Nie – odpowiedział Dziad, stojąc za nią, już nie w środku drzewa, na progu. – Ten, który nie pozwala spać innym. To pierwszy Litun. Kiedyś był człowiekiem. Miał na imię… Ale nie dokończył. Istota na tronie otworzyła oczy. Nie żółte. Czerwone. Jak krew, która jeszcze nie wyschła, ale jest już stara i gęsta. I patrzyła na Weronikę z ciekawością, jaką duże drapieżniki okazują małym, które zabrnęły zbyt daleko od nory. – Przyszłaś – powiedziała istota. I jej głos nie był jednym głosem – był chórem głosów wszystkich, na których kiedykolwiek usiadł Litun. W tym głosie Weronika usłyszała swoje własne słowa wypowiedziane w chwilach lęku, wstydu, pragnienia. Usłyszała rzeczy, które powiedziała tylko w myślach. Rzeczy, o których zapomniała, że myślała. – Dziewczyno, która nie śpi od szesnastu dni. Dziewczyno, która straciła ojca, matkę, wkrótce straci i siebie. Przyszłaś prosić? Błagać? Walczyć? – Przyszłam

powiedzieć trzy słowa – odpowiedziała Weronika. Jej głos był cichy, ale czysty – nie drżał. Istota zaśmiała się. Śmiech był straszny – nie dlatego, że głośny czy złowrogi, ale dlatego, że brzmiał jak śmiech kogoś, kto już dawno zapomniał, po co się śmieje. – Trzy słowa. Dzieci zawsze przychodzą z trzema słowami. Twoja matka też przyszła. Wieczorem, gdy już nie mogła spać. Stanęła przede mną i powiedziała swoje trzy słowa. Wiecie, co one były? Weronika milczała. – „Weź mnie, zostaw" – powiedział Pierwszy Litun. – Chciała, żebym zabrał ją, a przestał dręczyć jej rodzinę. Myślała, że to działa w ten sposób. Że jestem handlarzem. Że można się ze mną targować. Ale ja nie handluję. Ja tylko biorę. To, co mi się należy. A należy mi się sen każdego, kto kiedykolwiek zamknął oczy w strachu. Wstał z tronu. Jego postać ustabilizowała się, nabrała stałego kształtu – wysokiego, chudego mężczyzny w czerni, z twarzą, która nie miała wyrazu, ale miała ruch. Pod skórą jego twarzy coś się przesuwało, wiło, pełzało – może robaki, może myśli, może sny, które wchłonął przez tysiąclecia. – A teraz ty. Powiedz swoje trzy słowa, Weroniko Janik. I nie myśl, że mnie oszukasz. Widzę twoje myśli. Widzę je wszystkie, nawet te, których sama przed sobą ukrywasz. Wiem, że w nocy, gdy ja nad tobą latam, ty czujesz nie tylko strach. Czujesz też… przerwał, przekrzywił głowę – …ciekawość. Chcesz wiedzieć, co jest po drugiej stronie snu. Chcesz zobaczyć to, czego nie widzą inni. Nie przyszłaś tu tylko po to, by mnie wygnać. Przyszłaś też, by zobaczyć. Weronika zacisnęła dłonie w pięści. Miała ochotę zaprzeczyć, krzyknąć, że to nieprawda. Ale w głębi wiedziała, że mówi prawdę. Część niej pragnęła tego wszystkiego – ciemności, tajemnicy, kontaktu z czymś, co wykraczało poza szarą, suszącą się codzienność Krześni. Część niej cieszyła się, że Litun wybrał właśnie ją. – Znam swoje trzy słowa – powiedziała cicho. – Więc mów – odparł Pierwszy Litun, a jego czerwone oczy rozbłysły. Weronika wzięła głęboki oddech. I powiedziała: – Odejdź. Na zawsze. Cisza. Potem Litun zaśmiał się ponownie – tym razem głośniej, przeciąglej, tak że echo jego śmiechu odbiło się od czarnych ścian drzewa i wróciło do niej tysiąckrotnie, każde echo inne, każde z innym znaczeniem, wszystkie razem tworzące kakofonię, która sprawiła, że Weronika upadła na kolana. – Głupia dziewczyno – wyszeptał w końcu Litun, a w jego głosie nie było już śmiechu, tylko znużenie. – Nie możesz mnie wygnać, bo ja nie jestem z zewnątrz. Ja jestem z ciebie. Jestem lękiem przed snem, który sama w sobie wyhodowałaś, gdy jako dziecko słyszałaś, jak twoja matka krzyczy w nocy. Jestem niepokojem, który przyniosłaś ze sobą na ten świat, zanim jeszcze otworzyłaś oczy. Nie możesz powiedzieć „odejdź" własnemu cieniowi. Weronika podniosła głowę. Łzy płynęły po jej policzkach, ale w jej oczach nie było już strachu. – Więc powiem inne – odparła. I wstała. Podeszła do niego. On nie cofnął się. Stał nieruchomo – wysoki, czarny, niezmienny. Gdy znalazła się tuż przy nim, poczuła jego zapach: nie borowiny, nie zepsucia, ale mleka matki, kociej sierści, świeżego chleba, dymu z ojca fajki. Zapach dzieciństwa. Zapach wszystkiego, co straciła i za czym tęskniła. – Kocham cię – powiedziała. I to były jej trzy słowa.

9.

Pierwszy Litun zamarł. Jego czerwone oczy zmieniły kolor – z krwi na ciemny, głęboki granat, taki jak niebo w nocy, gdy nie ma księżyca. Jego twarz, która dotąd była płynna i nieuchwytna, ustaliła się w jednym, konkretnym wyrazie. I ten wyraz to było zdziwienie. Nie gniew. Nie radość. Czyste, dziecięce zdziwienie. – Nikt mi tego nie powiedział – wyszeptał. Jego głos stracił moc, stał się cichy, kruchy, podobny do głosu bardzo starego człowieka, który budzi się w nieznanym miejscu. – Tysiące lat. Miliony śpiących. Nikt…

nikt nigdy… – Bo bali się – przerwała Weronika. – Albo nienawidzili. Albo chcieli cię wykorzystać. Ale ja nie mam ani siły, ani chęci do walki. Nie umiem cię zabić, bo jesteś częścią mnie. Więc mogę cię tylko kochać. Tak jak się kocha własny strach – nie dlatego, że się go lubi, ale dlatego, że bez niego nie byłoby odwagi. Litun spojrzał na swoje ręce. Były przezroczyste. Jego ciało traciło gęstość, rozpływało się w powietrzu Nawi, wracało do stanu, z którego powstało – między jawą a snem, między światem a światem. – Odejdę – powiedział cicho. – Nie na zawsze – bo nie mogę. Ale na długo. Na tyle długo, że ty umrzesz ze starości, zanim wrócę. A wtedy… wtedy przyjdę po twoje dzieci. Albo wnuki. Bo Lituny nie znikają. One tylko czekają. – Wiem – odparła Weronika. – I nie boisz się? – Boję się. Ale to już nie jest twój strach. To mój. I ja go użyję. Litun skinął głową – po raz pierwszy gestem, który był w pełni ludzki. I zniknął. Nie wybuchnął, nie rozproszył się w świetle, nie zapadł pod ziemię. Po prostu przestał być. W miejscu, gdzie stał, przez chwilę wisiało w powietrzu jedno białe, drobne piórko, a potem ono też zniknęło, rozwiane przez wiatr, który nie istniał. Weronika stała sama w środku drzewa. Wokół niej, na czarnych ścianach, twarze przestały się ruszać. Zamknęły usta. Zamknęły oczy. I po raz pierwszy od niepamiętnych czasów w drzewie zapadła cisza – prawdziwa, głęboka, nieprzerywana nawet oddechem. – Wracaj – usłyszała głos Dziada, teraz już tylko echo, które nikło. – Krąg się zamyka. Masz trzy oddechy. Zamknęła oczy.